

TYGODNIK Powszechny

31-007 KRAKÓW

ul. Wiślna 12

13 27 - 03 - 94

Nr ..... z dn. ....

TEATR

# Skandalik

PAWEŁ GŁOWACKI

**D**oprawdy — nie ma się czego wstydić. Pomylić się, przeinaczyć myśl autora, niechcący dopisać mu rzeczy niestworzone, mimochodem się skompromitować, poleć w słusznej sprawie — to akurat wszyscy i wszędzie potrafią. Od Teatru Starego po ansamblę głębokiej prowincji. Natomiast precyzyjnie przemyśleć, skomponować i wyreżyserować sceniczną niedorzeczność — no cóż, na to pozwolić sobie mogą jedynie wybrańcy losu, niesłusznie i małodusznie zwani losu ofiarami. Za sprawą Giovanniego Pampiglione, miłośnika *dell'arte* i Witkacego, w owo wielce ekskluzywne grono śmiało wkroczył Teatr Słowackiego. Oto bowiem, po całkiem dobrej „Antygonie w Nowym Jorku”, przyszedł czas męskiej, mrożącej krew w żyłach przygody, czas poszerzania skali możliwości Teatru po stronie ujemnej, słowem — czas scenicznego kuriozum pod przemiłym tytułem „Amori”, godzina prawdy. No i udało się!

Literacki pretekst tego eksperymentu jest wielce szacowny, bo renesansowy, oraz wdzięczny, bo niebywale prościutki. Na tej lekkiej kanwie reżyser postarał się zbudować taki oto rodzajowy obrazek. Pewnego pięknego dnia pojawia się w Wenecji młodzian Julius. To beztroskie, zwałe i pulchne chłopię w zupełności wystarcza, aby zburzyć spokój niewieścich serc. Ścisłej — dwóch opuszczonych serduszek. Leciwego serca wdowy Angeli, oraz pochopnego młodej mężatki Valerii. Woli Bożej nie da się uśpić, paniom pozostaje więc tylko jedno — zastawić sidła. Huncwot Julius wpada oczywiście w obydwa. Najpierw w szacowne, doświadczone, wdowio-precyzyjne, później w młode, gorące i nieobliczalne. Nieobliczalne na całe nieszczęście weneckiego Casanovy. Oto bowiem, gdy czas był najwyższy zająć się dwiema służącymi, przyszła kryśka na Matyska. Przyszła ostatnia, powalająca scena. Valeria, ciemną nocą, w zmęczonej pościeli będąc ze swym młodzianem w okolicznościach ułańskich, dzierży w dłoni błyszczące narzędzie kaźni. Kulminacja jest nieuchronna. Teatr z wolna ciemnieje, pastele scenografii bledną, wraz z niemym krzykiem namiętnej modliszki bezlitosne nuty Gabriela Fauré przeszywają uszy widzów. Istny Edvard Munch. Serca zamierają. Wilgotnieją czoła i dłonie. Przeznaczenia nie da się jednak okpić, los musi się wypełnić. Młoda weneckanka wraza zimny metal w pierś Juliusa. Ledwie dane mu było nauczyć się tego i owego, gdy legł w krawym, Szekspirowskim, Wagnerowskim, bezlitosnym, miazdzącym, prerażającym epilogu. Tak oto z kaczki zrobił się zając — z nieudolnej komedyjki pretensjonalna tragiczna piła.

Z literackiego pierwowzoru w spektaklu pozostało dokładnie to, co opisałem — niewarty zachodu banał. Pampiglione twardo i precyzyjnie pozbawił renesansową komedię jedynej racji jej teatralnego bytu — wątlęgo bo wątlęgo, aleć zawsze humoru. Lekkość, wdzięk i harmonię zmienił w ich przeciwieństwo. Dał pokaz ozięźlejszej, zenującej kakofonii pretensjonalnych dowcipasów o damsko-męskich obłapkach. Zresztą, wciąż w myśl świadomego konstruowania złego smaku, pokazów prowadzi cokolwiek perwersyjnie. Oto sceny kulminacyjne, nocno-łóżkowo-miłosne, rozgrywa przy zgaszonych reflektorach. Skapane w nieprzeniknionym mroku wnętrze gmachu przy Placu Sw. Ducha wypełniają szepty, jęki i krzyki. Na widowni panienki piszczą z zachwytu, damy czują się oburzone, a panowie tarasują się z dyskretnym zapytaniem o noktowizor.

Czyż trzeba dalej opisywać pomniejsze już inscenizacyjne olśnienia Giovanniego Pampiglione? Scenę kąpeli kochanków w autentycznej wannie z autentyczną wodą, tudzież balecik otwierający całą tę smutną hecę? Na koniec lepiej chyba będzie zająć się osiągnięciem szerszym, tak zwaną kłamrą spinającą całość — mętłą konwencją całości. Nie jest to bowiem ani pastisz, ani stylizacja, ani groteska, a już na pewno nie jest to żaden eklektyzm. Więc czymże to jest? Otóż „Amori” w Teatrze Słowackiego są jednym wielkim bałaganem, bałaganem pięknie i konsekwentnie prowadzonym, ku chwale niedorzeczności. Renesansowy kostium gryzie się z dziewiętnastowieczną muzyką, współczesne, słabe w dowcipie tłumaczenie nijak się ma do wyskakującej co i raz konwencji *dell'arte*, a do tego na niby neutralnym, dyskretnym pastelowym tle Pampiglione szokuje ultra-awangardowym rozwiązaniem przestrzeni. Oto na przeciw widowni, na scenie, usadził drugą widownię, widownię graną, patrzącą tej pierwszej głęboko w oczy. I tak sobie patrzy i patrzy ospale przez godzinę z hakiem.

Tak więc spełniło się, co zamierzył reżyser. Nie udało się nieudany spektakl. Udał się humbug. Granice skandalu zostały poszerzone, czarno na białym stało, iż Teatr Słowackiego ma niebywale możliwości. Należy więc czym prędzej powrócić po tej męskiej przygodzie na utarte jednak szlaki. Przygody bowiem niebezpiecznie wciągają, czego nie życzę ani Teatrowi, ani sobie.

PAWEŁ GŁOWACKI

Teatr im. J. Słowackiego „AMORI” wg „LA VENEXIANA” Anonima Weneckiego z XVI w. reż. Giovanni Pampiglione, scen. Kazimierz Wiśniak, muz. Gabriel Fauré.